Ner 3. Kraków, dnia 1go Lutego 1871. Rok III.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.— Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

Dom bez dachu.

Jakież to dziwne mieszkanie dom bez dachu! Nie chciałbym mieszkać w takim domu, i chyba sama nędza, prawdziwa nędza zmusiłaby rozumnego człowieka do szukania przytułku w takiém schronieniu! Dom bez dachu, tylko puste ściany bez pokrycia, pod gołém niebem, stanowiłby przytułek zaledwo znośny w lecie, ale w żadnym razie w zimie. Dom bez dachu nie daje ani wygód, ani bezpieczeństwa, mieszkańcy byliby wystawieni na odwidziny natrętnych gości nieproszonych, na dolegliwe zmiany powietrza, jak zimno i gorąco, dészcz i śnieg, wiatr i błyskawice. I ty kochany czytelniku nie rad byś zapewno zamieszkać w takim domu? Gdyby zaś zbiegiem przykrych okoliczności ktoś z naszych znajomych musiał się kontentować podobném mieszkaniem, czy nie wartoby litować się nad nim i podać mu dłoń bratnią ku wycofaniu go z takiego położenia? Jednak rzecz dziwna! iż między nami są sta i tysiące ludzi, mieszkających w domach bez dachów! i to częstokroć całemi rodzinami, mężowie, ich żony, dzieci i sługi mieszkają jakby z własnéj chęci w domach bez dachów! Ale co jeszcze dziwniejsza, że mogliby zamienić swoje mieszkanie na lepsze, szczelniéj zamknięte, jednak z niezłomnym uporem przekładają takie domy!

Czytelnik zapewne przerwie uwagą, iż w życiu nie widział nikogo zajmującego dom bez dachu, nie prawdaż? Postaram się udowodnić to, com powiedział, odwołując się do zdania światłego męża, który utrzymuje, iż mieszkanie, w którém się nie oddaje codziennie w modlitwie chwały Najwyższemu, to nic innego jak dom bez dachu, gdzie niebezpiecznie pozostać choćby jednę noc!

Ach, opłakany jest stan rodziny, żyjącéj bez modlitwy!

Że dużo jest podobnych familij, nie ulega sprzeczce. Znajdują się one między bogatymi i ubogimi, między niby wyznawcami religii chrześcijańskiéj i między takimi, co sobie z niéj nic nie robią, między ludźmi często wyższe w towarzystwie zajmującymi stanowisko, i nareszcie między najniższymi, spodlonymi grzéchem i występkiem.

Ludzie jedzą, piją, kładą się spać, wstają, udają się do swego zatrudnienia, powracają do swych domów, oddychają Boskiém powietrzem, Boskie słońce ich ogrzéwa, korzystają z Boskich łask, mają ciało i członki ulegające śmierci, oczekuje ich sąd ostateczny i wieczność, ale głosu modlitwy w ich mieszkaniu nie usłyszysz; żyją jak zwiérzęta, które giną bez przyszłości, postępują jak stworzenia bez duszy, nigdy się do Boga nie odzywając! Nie wiedzą oni nic o spółeczeństwie z Nim, w którego ręce jest ich życie, mienie i wszystko, a z którego ust usłyszą kiedyś swój wyrok ostateczny! Ach gdyby tajemnice wszystkich rodzin były odchylone, wieleby to mieszkań znalazło się bez dachu! Takie rodziny są godne politowania i troskliwości pobożnych ludzi; jednak niechętnie się z niemi podziela grożące im niebezpieczeństwo, na dowód czego podam następujące zdarzenie:

Pewien nauczyciel domowy przyjął obowiązek u bogatego pana, znanego z wielu cnót obywatelskich, ale po krótkim czasie opuszcza jego dom i udaje się do bióra stręczeń nauczycieli z prośbą o inne miejsce. Gdy utrzymujący to bióro usłyszał, gdzie był poprzednio, mocno zdziwiony jego krótkim pobytem rzekł: I takie miejsce pan porzucasz, kiedy sobie za honor po-

czytuję być w takim domu, cóż się tam panu nie podobało? Co do stołu i wygód to już kwestyi nie ulega, ale może praca za ciężka, bo kilka synów do nauki i dozoru?

— O bynajmniéj, nie byłem obarczony pracą.

— Czy za małą pensyję panu ofiarowano?

— Nie mógłbym się spodziéwać większéj.

— Dla czegóż pan porzucił to miejsce?

— Nie chciałem żyć w domu bez dachu!

— Co pan prawisz? tam mieszkanie jest pałacowe, u tego pana najniżsi parobcy nie mają siedziby niepokrytéj choćby słomianym dachem.

— Muszę się panu wyraźniéj wytłomaczyć; mieszkaniem bez dachu zowię rodzinę, która żyje bez modlitwy.

Smutna niestety prawda! w całéj rodzinie tego obywatela nie było ani jednego pobożnego człowieka.

Zacząć i zakończyć dzień bez oddania czci właściwéj Bogu, rozpocząć zatrudnienie, przedsiębrać podróż, zawrzéć śluby małżeńskie, obrać nowe mieszkanie, wchodzić w stosunki przyjacielskie bez modlitwy, to smutne skazówki z obojętnienia ku Bogu, naszemu Stwórcy.

Pewien sławny pisarz powiedział: Dusza bez modlitwy jest duszą bez Boga, bez łaski, bez Chrystusa, jednem słowem jest duszą straconą w życiu i śmierci.

Człowiek bezżenny niemodlący się jest do pożałowania, ale o ile to straszniejsze, jeżeli to czyni ojciec familii, odpowiedzialny przed Bogiem i ludźmi za ścisłe wykonywanie obowiązków religijnych. Czy Pan Bóg nie objawił się Bogiem wszystkich rodzin ziemskich? Jest On i Stwórcą i Opiekunem, od Niego się spodziéwamy pomocy i błogosławieństwa, dla tego ma On prawo do naszéj czci i wdzięczności.

Za czasów patryjarchalnych, każdy ojciec rodziny był zarazem kapłanem w swoim domu. Dla czegóż nam się dziś wyłamywać z tego obowiązku? czemuż nie prosić Boga o uświęcenie naszych trudów i znojów, o zaopatrzenie naszych potrzeb, o powiedzenie się naszych zamiarów? Zaprawdę nie przepuści Bóg bezkarnie takiego zapomnienia o Nim.

Czytelniku, czy jest dach nad twoim domem?

Rzem.

RZĄDY OPATRZNOŚCI.

Przez Józefa z Bochni.

(Dokończenie).

Przyszedł i jął mówić, a wreszcie tak rzecze:
— Kim jesteś, gdzie byłaś, powiédz, do téj pory?
Może masz znajomych albo krewnych zgoła;
Z któregoś jest miasta lub z którego sioła?
Ja cię każę odwiéźć, gdy odzyskasz zdrowie!...
Westchnęła staruszka i tak wreszcie powie:
— Widać, żem żebraczka, ja temu nie przeczę,
Lecz dawnemi czasy miałam ja honory;
Żyłam w szczęściu, w dobrym bycie i swobodzie,
Liczną rozrządzałam, jak chciałam, czeladką,
Byłam bowiem panią, i żoną i matką;
Lecz kogo zrządzeniem niebios los dobodzie,
Szczęśliwa na nędzną zamieni się dola;
Tak i mnie wiek młodszy stargała niewola,
Nędza i sieroctwo i dziś mi dolega!
A właśnie trzydzieści lat teraz dobiega,
Gdy w mieście Przemyślu, w cerkwi, ztąd tak blizko,
Tatarzy zabili mi mojego męża!...
Ksiądz biskup uwagę tém więcéj natęża,
Nagle przerwie: Powiédz mi męża nazwisko!
Co robił, gdzie mieszkał? wyrzeknij dla Boga!
— Cóż z tego, choć powiem, panie, jego miano?...
Ile razy moja zaszła tutaj noga,
Powtarzałam je często, lecz się ze mnie śmiano;
Nikt wierzyć nie chciał, a to prawda szczéra...
Zdumienie władykę coraz większe zbiéra:
— Wyjaw — woła — wykryj mi spiesznie tajemnicę!
— Małachowski! — rzekła. — O cudowny Boże!
Czy to jest złudzenie, czy to mara może?..
A czy miałaś syna? — ksiądz biskup zagada.
— Miałam jedynaka! — chora odpowiada —
Dziecinę, co miała tak nadobne lice.
Lecz dzisiaj już pewnie nie żyje na ziemi;
Miéwam sny o synu; widzę jak z anioły
Taki promienisty, ach taki wesoły
Przechadza się pośród niebieskiéj dziedziny —
Nigdy z nikim innym, zawsze tylko z nimi,
Mój Janek kochany, mój Janek jedyny!...
Biskup rzęsistemi łzami się obléwa —
I rękę staruszki do ust swych przyciska:
— O matko najdroższa! o matko prawdziwa!
— Synu! — woła chora, gdy z ócz jéj łza błyska —
Ach Boże! to senność — jabym miała syna?..
Ja nędzna staruszka, niegodna za grzechy,
Miałażbym w starości dożyć téj pociechy —
Widzieć syna księdzem, widzieć go biskupem,
Kiedy od Tatarów poległ może trupem?...
— Tak jest, jam twym synem, o matko jedyna!
Twym Janem, co żyje, mnie Tatar nie zgładził,
Bo mię najszczęśliwiéj pan Bóg uprowadził;
Wskazał opiekuna, którego opieka
I pomoc prawdziwa ludzi naszéj wioski —
Zrobiły dziś ze mnie takiego człowieka,
Jakim mi być raczył wytknąć palec Boski!...
W znak pokory — patrzaj! do nóg twych się ścielę,
Rządź teraz mną całym zjawiony aniele,
Ja cię będę wielbił w najpóźniejsze lata,
Bom synem prawdziwym, a ty matka moja!...

O Panie! coś królem zwan nieba i świata,
O jakże cudowna jest wszechmocność Twoja!
O dzięki Ci dzięki! chwała nieskończona,
Że matka ma żyje, że nie jest stracona!...

Przy starannéj pieczy i Boskiéj pomocy
Odzyskała chora utracone siły;
Syn czuwał troskliwie nad nią w dzień i w nocy,
Toć też smutki u niéj nigdy nie gościły;
Ona w spokojności szła żywota torem
Jeszcze lat dwadzieścia — a syn został wzorem
Jak trzeba rodzice uszanować swoje —
By mieć łaskę nieba i w życiu pokoje! *)

Dziwne spotkanie.

(Dokończenie).

Tu dopiéro Walenty opowiedział jegomości wszystko do litery o Franusiu i zapewniał, że on nie będzie zły, bo sobie umié zasługiwać na miłość i przywiązanie.

Ksiądz ucieszył się bardzo i zatrzymał Franusia u siebie.

Franuś nosił co rano, południe i wieczór wodę do stołu, zamiatał pokoje, czyścił suknie i buty i po to i po owo chodził do miasta. Ksiądz sprawił mu nowy ubiór i nieraz bywało, dał dwa lub trzy krajcary, na gruszki lub inne łakotki, a oprócz tego codzień dawał mu całe jedzenie, kupił mu nową pościel, tak, że Frunuś nie mógł narzékać ani na pracę ani na głód. Przytém mógł sobie nieraz wychodzić na przechadzkę, gdy nic nie miał do roboty.

Raz przyszedł z miasta, a ksiądz dobrodziej pyta się go:

— I jakże podoba ci się tutaj w mieście?

A Franuś na to:

— I cóż by mi się nie podobało. Przecież tu ładniéj jak na wsi i o wiele więcéj można widzieć.

— A cóż ci się tu najlepiéj podobało? — spytał znowu jegomość.

Franuś zaczerwienił się po uszy i powiedział:

— Mnie się nic tak bardzo nie podobało jak to, gdym widział, że dzieci szły z książkami pod pachą. Takie to wszystko wesołe i żywe, że na nic nie mam ochoty patrzéć, gdy mam czas, tylko na dzieci, gdy wychodzą ze szkoły.

— A to możebyś i ty miał ochotę wyuczyć się na książce? zagadał żartobliwie ksiądz dobrodziéj.

— O! i wielką proszę jegomości! — odrzekł Franuś.

— Więc ja ci kupię książkę i sam cię będę uczył na niéj w wolnych chwilach.

I cóż powiécie, moi kochani, gdy wam powiem, że nie wyszło cztéry miesiące, Franuś doskonale czytał, aż się dziwił sam jegomość.

Wtedy mówi jegomość do Franusia:

— Widzę, że ci Pan Bóg udzielił wielkiego daru, co się zowie talent, więc nie trza go zaniedbywać, ale rozwijać, do czego ja ci dopomogę. Możesz i dla mnie wszystko na czas zrobić i do szkoły nie braknie ci sposobnego czasu.

Franuś aż podrygnął z radości, tak się tém uradował, że nie wiedział jak ma dziękować księdzu dobrodziejowi. Chodził też odtąd Franuś pilnie do szkoły, upływał rok po roku, a Franuś coraz w wyższéj był klasie. Niebawem umarł jego dobrodziéj, lecz Franuś nie został bez opieki. Inny ksiądz znowu wziął go do siebie. Franuś usługiwał jak przedtém i chodził do szkoły. Nie wstydził się pracy, bo wiedział, że tym sposobem sobie dopomoże. Jak inni w lenistwie, on miał w pracy upodobanie, toć téż Pan Bóg szczęścił mu zawsze i nigdy dwa lata nie siedział w jednéj klasie. I rówiennicy jego, co chodzili z nim razem do szkoły, kochali go jak brata, robili dla niego składki, bo widzieli, że ma nieprzepartą chęć do nauki, więc mu téż nigdy niczego nie brakowało.

No! i patrzcież moi kochani! Przy pomocy Boskiéj i dobrych ludzi, co zawsze pracowitych i pilnych wspomagają, ukończył biédny Franuś wszystkie klasy, co jest ich naraz dwanaście.

I różnie radzili mu ludzie: jedni mu mówili, aby się wyuczył na urzędnika, drudzy, aby został doktorem, inni aby był nauczycielem, lecz on wszystkim odpowiadał:

— Mnie ksiądz przywiódł do tego, co umiem, ksiądz mi podał rękę, że ze siéroty mogę zostać czém na świecie, więc niczém inném nie zostanę tylko księdzem, abym się lepiéj mógł modlić za jego szlachetną duszę.

*) Zdarzenie opisane nie jest urojoną baśnią, ale rzeczywistą prawdą. Działo się w 30 lat po napadzie Tatarów na Ruś Czerwoną w 1623 roku, w którym zabito ojca Jana Małachowskiego, naówczas ośmioletniego chłopca, który cudownym prawie sposobem został najprzód przemyskim, późniéj chełmińskim biskupem.

I wstąpił Franuś do seminaryjum, zkąd to wychodzą kapłani, i tam po cztérech latach został księdzem. Był téż to z niego kaznodzieja, i ludzie wszérz i wzdłuż o nim mówili, dla tego téż na jego kazaniach mnóstwo było ludzi, bo jakoś tak dziwnie i słodko umiał przemówić do serca, że choćbyś był z kamienia, to cię ruszył, i musiałeś płakać, jak nieprzymierzając małe dziecko.

Miał téż, jak powiadam, ksiądz Franciszek rozgłos pomiędzy ludźmi, owóż i panowie od niego nie stronili. Dowiedział się o nim jeden pan wielki, przychodzi do niego, i powiada, że słyszał o nim, iż on bardzo lubi dzieci, czyby téż nie chciał za sowite wynagrodzenie zostać ich nauczycielem i być zarazem kapłanem w jego dworze?

Zgodził się na to ksiądz Franciszek i był na dworze owego pana. Ten, co przed kilku laty był ubogim siérotą, dzisiał mieszkał sobie razem z państwem w przepysznym pałacu i wszystkiego miał po uszy. Ale ksiądz Franciszek był zawsze skromny, cichy, co się nadzwyczajnie wszystkim podobało. Dzieci pod nim kształciły się bardzo pięknie, więc też pan hrabia chcąc księdza Franciszka za jego trudy i mozoły lepiéj wynagrodzić, oddał mu w dobrach swoich najlepszą plebaniję, która była niedaleko od Tarnowa.

Zaraz téż dowiadywał się ksiądz Franciszek o Walentym Bojarku, gajowym przy Wiśnickim lesie koło Bochni, chcąc go teraz solennie wynagrodzić za jego niewypowiedzianą dobroć, lecz jakże się srodze zasmucił, gdy się dowiedział, że Walenty już nie żyje!

Wziął tedy Walentową, która nie miała dzieci, do siebie, i ona rządziła mu jak się patrzy ludźmi i tém, co tylko posiadał. Tak się to odwdzięczył ksiądz Franciszek dobréj Walentowéj. Dziękował Bogu, że natchnął nieboszczyka Walentego, aby go posłał do Tarnowa, bo tu zaświeciła gwiazda jego szczęścia.

Razu pewnego jako proboszcz pojechał w sąsiedztwo do wsi jednéj na odpust. Nie znał jeszcze dobrze tego miejsca, a właściwie nieznał dokładnie kościoła. Na wschodzie od kościoła był zrobiony ogrojec, do którego prowadziła brama, pięknie z drzewa wyrobiona. Koło tego ogrojca zgromadziła się wielka liczba ludzi, bo wewnątrz za bramą śpiéwał ktoś przyjemnie, wszyscy słuchali, a niektórzy tylko wiedzieli, że tam była staruszka, jak mówili na pokucie.

Oglądając ksiądz Franciszek cały kościół zaglądnął i w ono miejsce, gdzie śpiéwała owa nieznajoma osoba.

Zapukał do bramy, staruszka otworzyła, ksiądz Franciszek patrzy, a tu nie ma nic innego, tylko w kącie leży odrobina słomy, która staruszce służyła za posłanie.

— Czy wy tu staruszko zawsze zostajecie? pyta się ksiądz Franciszek.

— Przez cały rok, dzień po dniu, noc po nocy tutaj zostaję — odrzeknie staruszka.

— I w zimie także? — zapytał zdziwiony ksiądz Franciszek.

— Jeżeli przez cały rok, to i w zimie zostaję tu, proszę jegomości.

— A któż wam daje pożywienie?

A staruszka rzekła na to:

— Miłosierni ludzie, którzy dzięki Panu Jezusowi o mnie nie zapominają.

Wtedy powie ksiądz Franciszek:

— To wam tu musi być niewygodnie i zimno?

— Kto się na to poświęcił — odpowiedziała staruszka — ten zupełnie na to nie zważa. I pan Jezus, co tu oto jest w tym ogrojcu, ciérpiał daleko więcéj, dla czegóż i ja nie mam ciérpieć?..

— A długo wy tu już zostajecie?

— Oj, proszę jegomości — ozwała się staruszka — prawie w tym miesiącu mija dwudziesty trzeci roczek, jak mię w to miejsce zaprowadziła rozpacz, a żem się bała Pana Boga resztę dni moich poświęciłam pokucie, aby przebłagać niebo za wszystkie grzéchy moje i rodziny mojéj.

To powiedziawszy chciała staruszka daléj śpiéwać swoje pieśni, ale ksiądz Franciszek zagadnął ją znowu:

— A zkądże przybyliście w te strony? Jak daleka droga do waszéj rodziny?

Staruszka odpowiedziała zaraz:

— Ja nie mam żadnéj już rodziny, a zkąd ja jestem, o tém nie dowié się żadna istota na ziemi... Lepiéj nie mówmy o tém!

Jakieś przykre wzruszenie ogarnęło księdza Franciszka. Patrzy się coraz dokładniéj w pomarszczoną twarz ubogiéj staruszki, wreszcie jakby duchem świętym wiedziony, zapyta:

— Czyście wy przypadkiem nie z téj tu okolicy, czy może nie z Wojnicza?... Twarz wasza jest mi bardzo znajoma... I matka moja twarz miała podobną... O! biédna moja matka! — westchnął ksiądz Franciszek po chwili.

Staruszce zaparło dech w piersiach.

— O Boże miłosierny! — jęknęła stłumionym głosem i z całą siłą upadła na ziemię.

— Na ratunek, kochani ludzie! — zawołał ksiądz Franciszek na zdziwionych ludzi dla czego staruszka daléj nie śpiéwa — Podajcie czémprędzéj wody! Trzéjcie, aż się rozgrzeje!..

Niebawem ocknęła się staruszka i szeptała po cichu:

— Cóż się ze mną dzieje!... gdzie ja jestem?... Przez cały czas mojego pobytu nie doznałam takiéj słabości.

— Cóż cię do tego skłoniło? — powiedział rzewnym głosem ksiądz Franciszek — Czy to, że się pytałem zkąd pochodzisz i coś ty za jedna?...

A staruszka powié na to:

— To właśnie, to mię rozczuliło, bo ja jestem z Wojnicza. Jegomość zgadł zkąd ja jestem. I ja miałam syna, lecz nie wiem gdzie się obraca; on dawno już zginąć musiał... O! biédne moje dziecko!... Biédna siéroto! ja za ciebie czynię pokutę. Bóg cię może przyjął do chwały swojéj albo ci pobłogosławił między ludźmi!...

— To on zginął biédna staruszko? — spytał ksiądz Franciszek. — A jakież miano twojego męża?

Z płaczem odpowiedziała staruszka:

— O synu nic zgoła nię wiem, gdzie się podział; zginął mi małym jeszcze będąc chłopcem... Mąż... mój mąż... nazywał się... Szymon Kaleta...

— Szymon Kaleta, krawiec z Wojnicza?! — krzyknął ksiądz Franciszek przerywając mowę staruszki. O matko!... matko!.. o matko najdroższa!... O dzięki ci Stwórco, ja jeszcze mam matkę; matka moja żyje! — domówił te słowa i z wielkiego rozczulenia upadł do nóg matce, całował je i oblewał łzami, potém powiedział:

— Chodź moja matko, opowiem ci cały bieg życia mojego, a potém pojedziemy do domu mojego, bo ja jestem proboszczem i mam swoją plebaniję!...

Staruszka oczom swym wierzyć nie chce; ludzie posłupieli na to dziwne spotkanie syna i matki i nie mogli się o tém nagadać do syta, bo jużci że to nadzwyczajny wypadek, jaki rzadko kiedy widzieć się daje.

Pojechał tedy ksiądz Franciszek z matką swoją, lecz nie długo cieszył się jéj życiem, bo po dwu latach bardzo przyjemnie spędzonego żywota u syna, umarła miła staruszka, a jaki miała pogrzéb, to dotąd nie było takiego w tamtejszéj okolicy.

Po niéj umarła niebawem i Walentowa, został się sam ksiądz Franciszek na swojéj plebanii, pomiędzy swoimi kochanymi parafijanami, a czy żyje do tego roku, tego wam powiedzieć nie umiem, bom już bardzo dawno nie był w tamtych stronach.

Spisałem, widzicie, moi kochani, to prawdziwe zdarzenie dla was na przykład, abyście się przekonali, jakto najdobrotliwsza Opatrzność Boska opiekuje się biédnemi siérotami, jak im chętnie dopomaga, jeżeli są dobre i poczciwe, a chętne do pracy i nauki. Nie martwie się nieraz, moi ludkowie dobrzy, pracujcie i ufajcie panu Bogu całém sercem, a on zlituje się nad wami i dziećmi waszemi, że nie zmarnieją w świecie, i udzieli im tego, o co go prosicie, a czego z całego serca życzy wam wasz rodak i przyjaciel.

Józef z Bochni.

Pogadanki pouczające.

O państwie.

Żyjemy, bracia moi, na tym Bożym świecie, używamy jego darów, zaciekawiamy się nawet, co się na nim dzieje, a nie zdajemy sobie sprawy lub mało wiémy, jakie my też zajmujemy względem niego miejsce? Życie takie, mili moi, podobne do życia rośliny lub zwiérzątka, które tak samo oddychają, używają pokarmu jak my, nawet ostatnie przenosi się z miejsca na miejsce jak człowiek, ale nie wié czém jest, jakie zajmują stanowisko na tym świecie. Z rośliną i zwiérzęciem nic dziwnego, bo nie mają one tego rozumu, jakim Bóg najwyższy obdarzył jednego tylko człowieka. Ten też ma inne dla tego obowiązki: powinien wiedzieć najpiérw czém jest sam względém siebie, czém jest względem innych podobnych sobie ludzi i całego społeczeństwa, w którém żyje, i czém jest wreszcie względem Boga? Religija nasza święta naucza i objaśnia nas co do punktu ostatniego; mówi nawet, że wszyscy jesteśmy bliźnimi i bracią względem siebie, jako dzieci jednego Ojca w niebie. Tak niezawodnie, moi mili, ale tutaj chodzi nam jeszcze o coś więcéj; chodzi o poznanie tego społeczeństwa, w którém żyjemy, z jakich ono składa się części, gdy widzimy, że tak w niém wszystko ładnie ustrojone i ułożone; chodzi nam o poznanie jaką my w niém częścią jesteśmy i o poznanie innych. Wtedy dopiéro, gdy zdamy sobie z tego sprawę, gdy ta wiedza stanie się naszą własnością, wtedy będziemy wiedzieli, jakie zajmujemy miejsce w tym ustroju społecznym; naznaczymy sobie właściwe granice i nie będziemy przekraczali ich na ogólną i naszą szkodę. Jest to nam tak potrzebném, moi drodzy, jak wzrok dla widzenia, bez którego bylibyśmy ciemni, nie wiedząc w którą udać się stronę, co i gdzie ominąć, aby nie przypłacić zdrowiem lub

nawet życiem. Z nauką ma się tak samo; ona jest tém światłém duchowém dla umysłu naszego; ona nas oświéca, abyśmy nie zbłądzili i nie upadli, i dla tego dobrém jest i koniecznéem, że jéj nabywamy.

W innych krajach, jak naprzykład Anglii, która ma najpotężniejszą flotę na świecie — oddawna kształci się lud w takich wiadomościach. Dla tego też każdy tam dobrym obywatelem, uważającym się za syna swéj ziemi; każdy dobrym patryjotą kochającym swój kraj, ale nie tą próżną miłością, objawiającą się krzykliwemi słowy jak u nas, lecz sumiennem wykonywaniem swoich obowiązków względem ojczyzny. U nas, bracia moi, dopóty tego nie będzie, dopóki nie staniemy jak oni, dopóki nie poznamy co to jest to państwo, w którém żyjemy, z czego ono się składa, co nam daje i cośmy mu winni nawzajem. Ciekawa to, moi drodzy, historyja, bo jeżli ciekawém jest dla nas nieraz poznać z opisu jakieś miasto, to témci więcéj państwo, w którém się mieści i wiele miast i grodów wspaniałych, i tysiące wsi a miljony ludzi. Otóż to przedstawię wam dzisiaj najogólniéj i całkowity obraz tego, co nazywamy państwem.

Widzimy, że wszelka istota żyjąca, każde zwierzątko składa się z rozmaitych członków: głównie z nóg, tułowia i głowy; razem zaś wziąwszy, przedstawia jedną organiczną istotę, jeden organizm. Otóż tak samo i państwo składa się z takich rozmaitych członków, które odbywają pewne czynności jak i tamte. Wszystkie one przyczyniają się do wspólnego życia i składają jeden organizm państwowy.

Wielkie podobieństwo znajdujemy między państwem a gminą. Ta ostatnia znana jest wam bliżéj, a jest jakby małém państewkiem, dla tego też weźmiemy porównanie z nią, a łatwiéj przyjdzie nam zrozumieć co jest państwo?

Znane są wam, moi bracia, rozmaite gminy: większe i mniejsze. Każda jednak zajmuje pewną przestrzeń ziemi, lepszéj lub gorszéj, ale o to nam tu nie chodzi. Obszar jéj stanowi właśnie grunt czyli terytoryjum gminy. Na tym gruncie wy macie swoje zagrody i siedziby, swoją rolę, którą z taką miłością uprawiacie, która dobrze uprawiona daje wam obfite plony za waszą pracę. Niemi to utrzymujecie swój dom, swoją rodzinę, siebie, i tak ta święta ziemia nasza żywi nas ludzi. Jeżeli gospodarze gminy pracowitsi i rządniejsi, témci lepiéj się ma cała gmina, témci jéj ludność bogatsza na majątku, a zdrowsza na ciele i duszy. Ludnością tą, wiécie dobrze, nazywa się zbiór ludzi, większa ich lub mniejsza gromada. Ale choćby była jak największa, musi się ona składać z pojedynczych ludzi; każdy więc człowiek jest jedną częścią téj gromady. Przyglądając się człowiekowi, każdy z nas widzi na sobie, że się składa z dwóch części: z duszy i ciała. Tak dusza nasza jak ciało wymaga pewnych koniecznych potrzeb dla swego utrzymania, dla swego bytu. Ciało potrzebuje odzieży, aby się ochronić od przykrego powietrza; potrzebuje schronienia czyli domu, aby się zabezpieczyć przed zbytnim upałem, ulewą lub mrozem; potrzebuje dla utrzymania życia pokarmu, którego dostarczają pola i ogrody; potrzebuje więc, aby człowiek miał te ogrody, ten pokarm, tę odzież, to domostwo i siedzibę swoją, i żeby mu nikt tego przemocą lub podstępem nie zabrał; potrzebuje także, aby ktoś czuwał nad nim, aby go strzegł, a w razie wypadku, aby go obronił i oddał sprawiedliwość, słowem potrzebuje władzy. Taką władzę w gminie sprawuje stróż i zarazem najbliższy opiekun gminy, wójt. On nie tylko ma pieczę nad osobą i majątkiem każdego członka gminy, ale zarazem pamięta i o potrzebach całéj gminy, o załatwienie ich wspólnemi siłami, do czegoby siła jednego człowieka nie wystarczyła. On pamięta o szkole, o drogach, o ubezpieczeniu się i wzajemnéj pomocy na wypadek ognia, o porządku w gminie; on godzi powaśnionych, wymierza sprawiedliwość, karę na złych i t. d. Słowem wójt dzierży władzę świecką w gminie i jest jéj przedstawicielem. Ale człowiek, moi mili, mówiliśmy, składa się nie tylko z ciała, ale i z duszy. Otóż jak ciało tak i dusza ma swoje potrzeby; regulowanie ich i piecza nad niemi, musi także do kogoś należeć. Wiecie dobrze, moi mili, że w niedzielę i święto zgromadzamy się do kościoła; tam oddajemy cześć najwyższemu Bogu, Matce najświętszéj i świętym patronom naszym; tam modlimy się do nich i błagamy ich litości lub przyczynienia się za nami, tam każdy zasyła swoje dziękczynienia i prośby, ale jest jeden człowiek, który się modli za nas wszystkich, jest to nasz kapłan. Otóż on ma pieczę nad duszami waszemi, modli się za nas i łączy prośby nasze ze swojemi przy najświętszéj Ofierze do Pana Zastępów, on więc jest przedstawicielem naszym duchownym w obec Boga, i dzierży tém samém władzę duchową nad nami, jako pastérz nad owieczkami swojemi. To więc com wam tu tak krótko powiedział, przedstawia obraz gminy z jéj cielesnéj czyli fizycznéj i duchowéj strony. Macie tutaj najważniejsze jéj części: ziemię czyli terytoryjum gminy, daléj ludność jaka się na niém znajduje i wreszcie władzę cywilną i duchową, stósownie do dwóch części człowieka.

(Dokończenie nastąpi).

Kto jest dobrym gospodarzem?

Do starego Wacha przybył młody człowiek i prosił go, żeby mu wytłomaczył: kto jest dobrym gospodarzem?

Spodobało się to Wachowi, to też zażywszy tabaki, rzekł do niego:

— Dobrze robisz, mój bracie, że się chcesz ciągle uczyć, bo stan rolniczy wiele wymaga nauki i doświadczenia. I dla tego ma się gospodarz uczyć codziennie i co chwila, aż do grobowéj deski. Nie mów: Tak mój ojciec robił i było dobrze; niejedno jest teraz lepsze, niż było dawniéj, a więc ucz się tego i doświadczaj, a co twój ojciec robił dobrze, to rób tak samo. Ale nie bądź uprzedzony, bo czasem młodsza głowa może mieć więcéj rozumu od siwizny.

Korzystaj głównie z czasu, a nie odkładaj pracy na jutro, którą dzisiaj możesz zrobić, bo

jutro nie twoje. Zrób wszystko zawczasu, a zostanie ci dosyć czasu i do wytchnienia i do zabawy. Ale pamiętaj to sobie, że nie ten dobry gospodarz, który sam ciągle pracuje rękoma, ale ten, którego wszędzie pełno i dogląda całego gospodarstwa, bo: Oko pańskie konia tuczy, a czego nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem.

Najpiérw zrób to, co ci jest konieczném, bez czego na żaden sposób obyć się nie możesz, potém dopiéro to, co ci jest pożytecznėm, a nakoniec co przyjemném. Tak sobie postępuj i z kupowaniem. Najpiérw kup sobie to, bez czego się obyć nie możesz, a potém, jeżeli ci piéniądze wystarczą, kup to, co ci jest pożytecznėm, a nakoniec, jeżeli ci jeszcze piéniędzy zbędzie, kupuj to, co ci sprawia przyjemność.

A nakoniec i z zwiérzętami obchodź się po ludzku; nie męcz ich bez potrzeby, bo i one są stworzeniami Boskiemi, danemi tobie, abyś z nich miał korzyść, ale nie na to, abyś je męczył i pastwił się nad niemi. Miéj litość nad niemi, a i pan Bóg nad tobą litość mieć będzie. Kto nie ma litości, ten nie ma i Boga w sercu.

Z poddanymi i rówiennikami żyj w zgodzie i miłości, a będziesz dobrym gospodarzem.

Młody człowiek podziękował Wachowi za dobrą radę i obiecał wedle niéj postępować.

Ks. S. Tomicki.

Jak można mieć dobrą mąkę ze zboża stęchłego?

Toćto każdéj gosposi dobrze wiadomo, jaki to bywa kłopot, gdy przyjdzie piéc chléb z mąki, która jest ze zboża zrosłego. Chléb taki nie uda się nigdy, bo będzie zawsze zakalcowaty i niesmaczny, a najbardziéj, że szkodliwy zdrowiu. Zakalec jest niestrawny, o tém wié każdy, a objadłszy się go, można nieraz ciężko odchorować. Ale że trudno wyrzucać mąkę, choćby była i ze zrosłego zboża, a nieraz nie można marnotrawić, bo innéj mąki nie ma, przeto muszą biédni ludziska jeść, co mają i narażać swoje zdrowie. Tak myśleli wszyscy przez długie czasy i bardzo wielu i dziś jeszcze nie znają sposobu do zaradzenia złemu. Ale kiedy to mądrzy ludzie zaczną nad czém medytować, to także wymyślą coś skutecznego. Podobnie także wymyślili doskonały sposób na mąkę ze zrosłego zboża, jakby ją uczynić dobrą?

Jest to bardzo prosty i łatwy sposób, a wynalazł go nie dawno jeden mądry Francuz i opisał ludziom— jak zaradzić takiéj mące? Otóż, miła gosposiu, gdy masz mąkę ze zrosłego zboża, to łatwiusieńka rzecz, aby ją uczynić dobrą, gdy tak z nią zrobisz, jak tu napisano. Weź takiéj mąki 13 funtów i dodaj do niéj 9 łutów soli. A potém możesz zamisić i piéć chléb, a będziesz go miała aż 17 funtów i to doskonałego. Wyrośnie, że aż miło, a po zakalcu ani śladu nie będzie. Jeżeli zaś mniéj albo więcéj mąki zechcesz użyć na raz jeden, to trzeba w tym samym stosunku dodać soli. I tak jeżeli masz 26 funtów mąki, to także podwójnie dodasz soli, to jest 16 łutów. Jeżeli masz tylko połowę od trzynastu funtów czyli 6 i pół, wtedy dasz tylko cztéry łuty soli, i tak zawsze w równéj mierze, ile będzie potrzeba. Otóż cały sekret i pewna rzecz, że bardzo tani i łatwy. Spróbujcie tylko a przekonacie się, że to nie bajki i że sól może z takiéj zepsutéj mąki zrobić doskonałą. Téj zaś mąki można potém użyć na co bądź i zawsze przyda się do wszystkiego, tak na chléb, jak na kluski i na inne pożywienie.

Co słychać w świecie?

Donoszą z Berlina, że zajęto się urządzeniem dwunastu nowych korpusów wojska na północy i południu tak zwanych dzisiaj césarskich Niemiec, albowiem Francuzi prowadzić będą wojnę, choćby i po zdobyciu Paryża, a Prusacy posiadają obecnie zaledwie trzecią część Francyi z $11\frac{1}{2}$ milijonami ludzi na 38 milijonów całéj ludności. Francuzi otrzymują prawie codziennie armaty i karabiny z Ameryki, to téż siła u nich jeszcze bardzo wielka. W całych Prusiech zamęt i zamięszanie nie do opisania. Rekruci, po trzechtygodniowéj tylko mustrze i tak zwana obrona krajowa, mają dostarczyć ludzi na owe utworzyć się mające korpusy. Zostaną chyba w domu starcy i ułomni ludzie.

Paryż bombardują Prusacy bez ustanku, jak donoszą d. 23 stycznia. Wiele fortów rozburzono. Szkody ogromne. Zewsząd widać pożary. Nocną porą goreją ogniste łuny na niebie. Wiele młynów zniszczono na Sekwanie. Ci, co uciekli z Paryża, donoszą, że w mieście mają jeszcze podostatkiem drzewa, zaczyna tylko brakować mięsa.

Bombardowanie trwa dniem i nocą. Z dzielnic, do których wpadają bomby, ludność z żalem i złorzeczeniem przenosi się do innych. Paryżanie nie upadli na duchu. Usposobienie, chociaż w tak drażliwéj chwili, zupełnie pomyślne. Rozmowy toczą się tylko o żywności. Zamiast jak dawniéj pytać się: Jak się masz? — pytają się teraz: Cóż jadłeś dzisiaj rano, w południe? Jedno jajo kosztuje frank czyli przeszło 40 centów; kurczę 26 franków.

Piszą o rozmowie na przechadzce matki z synem. Mówiła mu o ruchach wojsk francuskich, a potém dodała, że one wypędzą Prusaków z kraju. — Prusaków, tych złych Prusaków? — zapytał chłopiec. — A pewnie, że ich wypędzimy, a wtedy będziemy jeść sér. Minister wojny Gambetta powiedział otwarcie, że Francuzi Prusakom nie ustąpią. Cieszy się, iż codziennie przybywają z różnych stron ochotnicy. W przeciągu dwóch miesięcy może Francyja postawić na polu bitwy 800.000 ludzi. Ameryka dostarczy broni.

Hrabia Bismark nie chciał niedawnym czasem dać ministrowi francuskiemu Fawrowi przepaski, by w imieniu Francyi stanął na konferencyi w Londynie odbyć się mającéj. Nie przyszła więc do skutku, bo Francyja nie była zastąpioną.

Były wielkie bitwy; jedna przy mieście Dijon na dniu 21 stycznia przeciw Garibaldemu, druga przy inném mieście na d. 19 stycznia, gdzie Francuzi mieli w rannych i niewolę wziętych stracić 15000 ludzi.

Jak piszą, Prusy w porozumieniu się z królami niemieckimi, ogłosiły się już cesarstwem. Koronacyi ma nie być żadnéj. Ceremonija ma się odbyć w Berlinie przy otwarciu rady państwa, na co król pruski prybędzie do Berlina, gdyby do tego czasu nie skończono z Paryżem. W razie zawarcia pokoju, ma on być zawartym w Berlinie, nie w Wersalu lub Paryżu.

Prusacy bombardują także miasto Longwy. Zniszczenie tam już bardzo wielkie.

Bawarczycy pod Paryżem dali sobie słowo, by Francuzom nie dawać pardonu. Jak poranione lwy rzucają się na nieszczęśliwych obrońców swego kraju. W Paryżu wiele osób poranionych i zabitych. Spustoszenia z każdym dniem i nocą coraz większe. Co chwila wpadają bomby i druzgotają budowy, na których upiększenienie składały się wieki.

Do mieszkania pewnego krawca wpadła bomba i roztrzaskała się między dwiema kołyskami z dwojgiem dzieci. Przybiega struchlała matka. Zdało się jéj, że zastała dwa trupy. Ale o cudzie! oboje były żywe.

Pułki pruskich wojsk walczących na południu, jak donoszą, do połowy zmniejszały. Drugi pułk bawarski, który szedł do wojny w 36000 ludzi, ma teraz zaledwie 5000 starszego żołnierza.

Donoszą gazety, że Niemcy, którzy tak surowo potępili wygnanie własnych ziomków z Francyi, jeszcze gorzéj postąpili z Polakami osiadłymi w Alzacyi i Łotaryngii. Nagle bez grosza na drogę, wszyscy otrzymali rozkaz udania się do Szwajcaryi pod karą sądu wojennego. Komitet szwajcarski w Bazylei w celu wspiérania tych nieszczęśliwych, wydał odezwę, która tak opiéwa:

— Polacy, którzy używali gościnności francuskiéj w Alzacyi i Lotaryngii, zostali wszyscy razem wygnani przez władze tymczasowe niemieckie. Każdy z nich otrzymał paszport przymusowy dla udania się najkrótszą drogą do Szwajcaryi, pod karą sądu wojennego w razie powrotu. Każdy musiał odbyć podróż własnym kosztem. Kilkaset Polaków padnie ofiarą tego wygnania; pomiędzy nimi starzy i młodzi i ojcowie rodzin. Nie tylko emigranci z 1846 i 1863 roku, ale nawet starcy 70 letni z 1830 roku.

Pomiędzy nimi jest jeden major liczący 97 lat, chory na zapalenie chroniczne.

Wielu jest kupców, rzemieślników, oficyjalistów, weteranów inwalidów i t. p.

Bardzo rychła pomoc jest niezbędną, solidarność w ludzkości powinna mieć piérwszeństwo. Na szczęście takie katastrofy są rzadkie, nie powinniśmy się nużyć w niesieniu pomocy.

Dary będą z wdzięcznością przyjmowane u prezesa komitetu i u kasyjera, oraz stósownie użyte.

Bazyleja d. 8 stycznia 1771, poczém następują podpisy.

Donoszą gazety, że z różnych oznak można wnosić, iż obrona miasta Paryża zbliża się końcowi. W rządzie panują rozterki wywołane zdaje się brakiem jedności zdań co do przyszłego postępowania. Jenerał Trochu, który przysiągł nie kapitulować, złożył godność gubernatorą miasta i objął dowództwo nad jedną częścią paryskiéj armii.

Twierdzą, że miasto podda się z powodu głodu, armije zaś cofną się do silnych fortów paryskich i tam będą się broniły, a zarazem dążyły do przebicia się przez linije pruskie.

Uważają także, że Prusacy niewielką odniosą korzyść z zajęcia Paryża, na którego obsadzenie potrzebować będą przynajmniéj 100000 wojska; inne będzie musiało oblegać forty.

Prusacy stracili w ostatnich cztérech bitwach około 30000 ludzi.

Straszne jakieś nastąpią teraz wypadki i Bóg tylko jeden raczy wiedzieć, co daléj będzie w świecie?

ROZMAITOŚCI.

Włościaninowi Lesiowi z Kożula w powiecie lisieckim udzieliło c. k. Namiestnictwo za ocalenie człowieka tonącego w Sanie nagrodę w kwocie 20 złr.

W Karlsburgu wyszedł niedawno zakaz palenia fajki na placu targowym. Pewien jegomość nie zważając na to, przechadzał się po placu i kurzył fajkę. W tém nadszedł drabant miejski: — Wyjmij pan fajkę z ust — wrzasnął stróż bezpieczeństwa, jeżli nie chcesz zapłacić 10 złotych kary. — Napadnięty wyjmuje fajkę z ust i pyta drabanta, czy także i cygar palić w mieście nie wolno? — O, to wolno — odpowiedział dobrodusznie sługa policyjny — bo nawet sam pan dyrektor policyi pali cygara na ulicy.

Weszło w zwyczaj przy napitku spełniać kieliszek wódki i mówić: Zdrowie twoje, a właściwie byłoby stósowniéj wołać na głos: Choroba twoja i moja, albo zguba moja i twoja!

Krasiński będąc w poselstwie u Porty, przechodził się z wielkim wezyrem po basztach Konstantynopola, głównego miasta w Turcyi. Uniesiony dumą bisurman rzecze do niego: Czy nie wiesz, że z téj baszty jeden z podobnych tobie niedawno był strącony? Musiał nie mieć korda przy boku! — odpowiedział dzielny Krasiński.

Komuby z szanownych Czytelników brakowało pojedynczych numerów Włościanina z przeszłego roku niechaj reklamuje w nieopieczętowanym i nieopłaconym liście. Brakuje tylko 23 numeru.

Ktoby teraz do trzech dni po terminie nie otrzymał jednego z pism naszych, niech zrobi to samo.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan.

W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.